

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
Duda wraca do przedpokoju
- 16 OGŁĄD I POGLĄD
Radosław Sikorski
Polska-Unia: awantury bez korzyści

Polityka

- 18 Ewa Siedlecka
Wojna o sądy, część II
- 20 ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO
Mariusz Walter, współtwórca obchodzącej 20-lecie stacji TVN
- 24 OGŁĄD I POGLĄD
Kazimierz Bem
Jarosław Makowski
Pisowskie państwo zabobonów

Społeczeństwo

- 26 Marta Sapała
Ile wyrzucamy żywności
- 30 Agnieszka Sowa
Leśna armia
- 32 Paweł Walewski
Jak wyrwać dzieci z sieci
- 34 Rozmowa
z dr. **Przemysławem Sadurą**
z Instytutu Socjologii UW
o społecznych skutkach zmian w oświacie
- 37 Marcin Kołodziejczyk
Wojciech Wencel – poeta nadworny
- 40 Violetta Krasnowska
Tajemnica śmierci modelki

Rynek

- 42 Rozmowa z **Arkadiuszem Sobczykiem**, prawnikiem i ekonomistą, o zdziżałym polskim prawie pracy
- 46 Cezary Kowanda
Kłopoty Ryanaira

Świat

- 48 Filip Gańczak NIEMCY
AfD – nowa siła, nowi ludzie
- 51 Artur Domosławski MEKSYK
Trzęsienie ziemi znów wstrząśnie sceną polityczną?
- 54 Andrzej Lubowski HONGKONG
Tygrys w kagańcu

12

18



Prezydent o sądach – stracone złudzenia

20



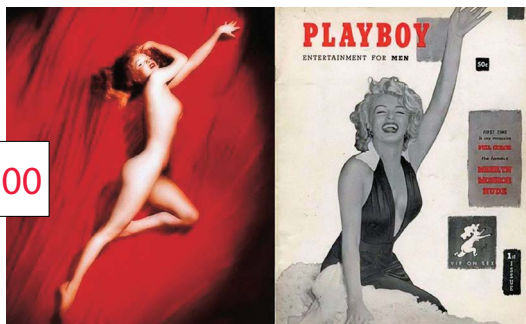
Mariusz Walter o przeszłości i przyszłości TVN

26



Dość marnowania żywności!

100



„Playboy”, więcej niż obrazki

- 56 Marek Ostrowski ESEJ
Galopująca amerykanizacja Europy
- Historia**
- 58 Marcin Czajkowski
Che Guevara – patron buntowników
- 61 Sebastian Pawlina **Narodowe Siły Zbrojne – wojsko skrajnej prawicy**
- 64 Piotr Długołęcki
Sukces nieudanego planu Rapackiego
- Nauka**
- 66 Agnieszka Krzemińska
O sztuce pisania listów
- 70 Marcin Rotkiewicz
Choroba noblistów
- Kultura**
- 76 Rozmowa z reżyserem **Andrzejem Jakimowskim** o nacjonalizmie, wykluczaniu i Polsce skręcającej w złą stronę
- 80 Sebastian Frąckiewicz
Graficy, którzy zaprojektowali PRL
- 82 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
- 84 Łukasz Najder
Literacki obraz brytyjskiej arystokracji
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- Ludzie i style**
- 88 Paweł Walewski
Alternatywa dla palaczy
- 92 Agnieszka Krzemińska
Sekrety grzybów
- Na własne oczy**
- 100 Przemysław Berg
Hugh Hefner, człowiek, który stworzył „Playboya”

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 72 Afisz • 94 Passent
- 96 Stomma • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Granice różańca

Czytam, że trwający w Polsce tydzień modlitwy za uchodźców nie wzbudza entuzjazmu księży i większości wiernych. Lista miejsc, w których modlitwy się odbywają, jest ponoć wyjątkowo krótka, jeszcze krótsza jest lista hierarchów, którzy tym modlitwom przewodniczą. Prawdę mówiąc, trudno się temu dziwić, zważywszy, że przecież Pan Bóg mógłby tych modlitw wysłuchać, co mocno podważyłoby zaufanie Polaków do niego.

Z pewnością większym zainteresowaniem niż tydzień modlitwy za uchodźców cieszyłby się tydzień modlitwy za to, żeby Pan Bóg nas przed nimi uchronił. Potrzeba takiej modlitwy jest pilna i niewykluczone, że zaspokoi ją akcja Różaniec Do Granic, która odbędzie się 7 października, w dzień Święta Matki Bożej Różańcowej ustanowionego po bitwie pod Lepanto, gdzie flota chrześcijańska pokonała wielokrotnie większą flotę muzułmańską, ratując Europę przed islamizacją.

Organizatorzy mają nadzieję, że ich inicjatywa, mająca być „prośbą do Boga o nawrócenie Polaków i innych narodów”, zakończy się sukcesem co najmniej takim, jak bitwa pod Lepanto. Zapewniają, że punkty modlitwy będą zlokalizowane co kilometr wzdłuż całej granicy, a sama modlitwa będzie

modlitwą „do granic naszych możliwości, naszych lęków, naszych pragnień”, które – jak wiadomo – są od dawna jasno wyrażane ustami takich polityków, jak Beata Szydło czy Mariusz Błaszczak.

Uważam, że oczekiwania organizatorów, że ich akcja „może wpłynąć na losy Polski, Europy, a nawet całego świata”, są w pełni uzasadnione. I chociaż w tym roku hasłem akcji jest „Różaniec do granic”, to może w kolejnych latach organizatorzy zdecydują się na przekroczenie granic i ruszą z różańcem dalej. I nawet jeśli zmierzających do nas islamistów nie nawrócą, to być może chociaż zmuszą ich do zawrócenia.

Portal „Frona” informuje, że dzięki działaniom Ducha Świętego obok zwykłych ludzi w akcji wezmą udział także osoby publiczne, takie jak aktor Cezary Pazura deklarujący, że będzie się modlił „o zdrowy rozsądek, który z nas wszystkich wyparował”. Z tym że jego kontrowersyjna deklaracja spotkała się z krytyką tych, którzy są przeciwni przecenianiu roli zdrowego rozsądku w dzisiejszym świecie i uważają, że w zbożnych dziełach, takich jak nawracanie innych narodów czy ratowanie Polski i świata, zdrowy rozsądek nikomu do niczego się nie przyda.



SIWIENIE I WYPADANIE WŁOSÓW

ROZWIĄZANIE NA NASILAJĄCY SIĘ PROBLEM CYWILIZACYJNY



dr n. med. dermatolog
Agnieszka Szewczyk

Siwienie włosów jest nieodczynnym procesem naszego życia. Zwykle, fizjologicznie pierwsze siwe włosy pojawiają się ok. 35-40. roku życia, choć coraz częściej spotykam się w mojej praktyce lekarskiej z problemem przedwczesnego siwienia, które występuje już między 20. a 30. rokiem życia. Zaczyna być to powszechny problem cywilizacyjny, który może powodować dyskomfort psychiczny i bariery społeczne.

Siwienie jest uwarunkowane czynnikami genetycznymi, z wiekiem włosy mają coraz mniej pigmentu, co widoczne jest w ich jaśniejszym, szklistym odcieniu. Siwe włosy są pozbawione barwnika, czyli puste w środku, dlatego z wiekiem zmieniają swoją strukturę, są mniej elastyczne, sztywne, szorstkie, matowe oraz mało podatne na układanie. Na przedwczesne zjawisko siwienia włosów wpływają także zmiany cywilizacyjno-środowiskowe, stres, dieta uboga w witaminy, a także promienie UV, czy papierosy.

Niezależnie od przyczyn siwienia, istnieją sposoby, aby za sprawą prawidłowej pielęgnacji spowolnić ten proces, a już odbarwionym siwym włosom stopniowo przywrócić ich naturalny, fizjologiczny kolor bez konieczności sięgania po farby i szampony koloryzujące. Takim, naturalnym rozwiązaniem mogą być kuracje preparatami zawierającymi w składzie wyciąg z orzecha, a także, jak z najnowszych doniesień naukowych wynika – antyoksydant – naryngeninę, która opóźnia proces starzenia się włosa, tym samym odsuwa w czasie zjawisko siwienia włosów oraz pobudza produkcję barwnika. W efekcie **przywraca włosom ich naturalną pigmentację i redukuje ilość istniejących siwych włosów**, poprzez ich stopniowe przyciemnienie.

Dodatkowo przedwcześnie nasilający się problem siwienia często współwystępuje z wypadaniem i przerzedzeniem włosów na skutek miniaturyzacji i osłabienia mieszka włosowego, ponieważ barwnik powstaje w tym samym miejscu, w którym formuje się włos. Dlatego istotnym krokiem w codziennej pielęgnacji jest stosowanie specjalistycznych preparatów o naturalnym składzie i udowodnionym działaniu, które mogą być kombinacją jednego produktu, a odpowiadać na dwa współwystępujące problemy włosów i skóry głowy.



Dostępny w aptekach
42,90 zł / 250 ml

FORMUŁA OBJĘTA OCHRONĄ PATENTOWĄ STANOWI SKUTECZNE
ROZWIĄZANIE NA DWA WSPÓŁWYSTĘPUJĄCE PROBLEMY
PRZEDWCZESNE SIWIENIE & WYPADANIE WŁOSÓW

NARYNGENINA

wykazuje duoaktywne działanie: opóźnia proces starzenia się włosów i przywraca im naturalną pigmentację

WYCIĄG Z ORZECHA

zawiera fitopigmenty i stopniowo przyciemnia siwe włosy i przywraca im naturalny kolor

KOMPLEKS KOFEINY I NATURALNEGO CZYNNIKA WZROSTU FGF

wzmacnia włosy oraz zmniejsza tendencje do ich wypadania i przerzedzenia

D-PANTENOL I POLIMERY KATIONOWE

o właściwościach łagodzących podrażnienia i regenerujących, przywracają fizjologiczne pH skóry głowy i niezbędny poziom nawilżenia



Nie wykazuje
właściwości
farby do włosów



Formuła do
codziennego
stosowania



Regularne stosowanie
stopniowo przywraca
naturalny kolor włosów

Kup książkę

Pułapka posybilizmu



Jerzy Baczyński

Góra urodziła mysz. Andrzej Duda, po dwóch miesiącach pracy własnej oraz ekspertów, przedstawił projekty ustaw sądowych tak niedopracowane i niedomyślane, że w ciągu paru godzin rozsypały mu się w rękach, łącząc z jakimś dziwacznym pomysłem nagłej zmiany konstytucji. W tych propozycjach nawet technicznie i logicznie niewiele się klei (analizujemy je na s. 18), poza jedynym czytelnym motywem, by, ustanawiając swoją władzę nad sądami, partia uwzględniła prezydenta. Projekty Dudy nawet w obozie PiS wywołały konsternację i ironiczne komentarze. Nie mówiąc już o opozycji, która srodze zawiodła się w nieśmiały nadziejach na jakiś bunt Dudy przeciw łamaniu konstytucji. A ponieważ prezydenckie projekty ustaw nie zadowolają ani kierownictwa PiS, ani opozycji parlamentarnej i ulicznej (znów mieliśmy manifestacje pod sądami), merytorycznie zaś są żenujące – zapewne znów zaobserwujemy sondażowy wzrost poparcia dla Andrzeja Dudy. Tak działa nasze polityczne prawo Murphy'ego: im gorzej, tym wyżej. W rankingach popularności i zaufania zdecydowanie dominują dziś partia PiS, a personalnie Andrzej Duda i Beata Szydło, urzędnicy raczej bezwolni i bez większego politycznego znaczenia. Zaś po sondażowym dnie szorują – w końcu broniący praworządności – działacze opozycji. Załamać się można, jeśli się nie jest z PiS.

Zagadka – dlaczego „temu pisu” nie spada? – obrosta licznymi hipotezami i teoriami. Po wyborach przed dwoma laty dominowała teoria awarii politycznej (że Tusk, Komorowski, Ogórek, która zaszkodziła lewicy), potem analizy zaczęły sięgać głębiej: że oto mamy bunt klasy plebejskiej przeciwko klasie średniej albo że rozczarowana klasa średnia zwróciła się przeciw elitom III RP lub że obserwujemy ewidentny bunt prowincji. Była też narracja historyczna, że odżyła stłumiona nostalgia za PRL lub odmroziły się konflikty i podziały z czasów międzywojnia. Ciekawa, do dziś rozwijana, jest teoria kulturowa: PiS odkrył prawdziwą, folwarczną, chłopską naturę Polaków, odrzucił uciążliwy snobizm na zachodnie „a, e”, przywrócił godność i swojskość, pokazał, że my ze Wschodu i że nie musimy się tego wstydić. Ważne są interpretacyjne nurty psychologiczne, odwołujące się do tłumionego poczucia krzywdy, zawiści, chęci odwetu. Jest ciekawy zestaw teorii mistycznych, mesjanistycznych – a jakby na drugim krańcu opowiedzieć, że chodzi zwyczajnie o kasę, kariery, utrzymanie się przy korycie i korpumpowanie państwowymi pieniędzmi (500 plus) jak największej grupie wyborców. Te hipotezy czasem się łączą, częściej wykluczają.

Ostatnio, zapewne na tle tzw. sporu o sądownictwo, modna stała się „teoria przełamania imposybilizmu”. Oryginalne słowo „imposybilizm” – wrzucone do naszego potocznego języka przez Jarosława Kaczyńskiego jeszcze w czasach rządów Platformy – miało oznaczać demonstrowaną jakoby przez PO „niemożność” rozwiązywania różnych problemów Polaków. A to z powodu braku pieniędzy, ograniczeń prawnych, międzynarodowych umów, politycznej poprawności. Kaczyński obiecywał, że po dojściu PiS do władzy niemożliwe stanie się możliwe. I na tym budowano kampanię wyborczą: „Nie wiercie, że nie ma pieniędzy; wystarczy tylko nie kraść”. „Prawo nie może być ważniejsze od woli wyborców” – znamy, pamiętamy. Po wygranych wyborach (i to jest centrum teorii przełamania) PiS robi dokładnie jak zapowiedział. I co? – i nic. Dali 500 plus i budżet się nie załamał; obniżono wiek emerytalny, ludzie są zadowoleni, a agencje ratingowe podnoszą notowania polskiej gospodarki. W ciągu paru miesięcy dało się zlikwidować gimnazja, spolonizować wielkie banki, uszczelnić system podatkowy, wyciąć kornika z Białowieży, zażądać reparacji wojennych od Niemców.

Najlepszym symbolem przełamania imposybilizmu Platformy jest komisja ds. warszawskich reprivatyzacji Patryka Jakiego. Prawnicy dowodzili, że nie da się bez długich procesów odwrócić dokonanych faktów, a tu proszę: Jaki oskarża, decyduje, nakazuje zwrot, pokrzywdzeni lokatorzy płaczą ze szczęścia, dziękują panu ministrowi. Jeśli potem nie uda się fizycznie odzyskać nieruchomości, to dlatego, że są jeszcze obrońcy imposybilizmu w sądach i warszawskim ratuszu. Cała idea podporządkowania prokuratury ministrowi sprawiedliwości ma służyć interwencji w wybrane, spektakularne przypadki; prezydenta pomysł z ludową izbą odwoławczą w Sądzie Najwyższym również zmierza do złamania ostateczności prawomocnych wyroków. Tak, radykalny posybilizm tej ekipy niszczy resztki reputacji poprzedniej władzy i obezwładnia dzisiejszą opozycję.

Sporo ludzi wcześniej niewspierających PiS jest pod wrażeniem determinacji, skuteczności, aktywności, pośpiechu tej ekipy – zwłaszcza po okresie tuskowego zastoju – wytyczania dróg na skróty, nieliczenia się z oporem przeciwników i utyskiwaniem ekspertów. Jeśli to nam się będzie wciąż podobalo (sondaże poparcia dla PiS rosną), będziemy mieli tego posybilizmu więcej. Prokurator Ziobro dopadnie złych ludzi uniewinnianych przez złe sądy; Jaki odda, co będzie komu uważał; Morawiecki zbuduje prom, lotnisko i milion aut na prąd; ABW i inne CBA będą podsłuchiwać na potęgę, rzecz jasna bez jakiegokolwiek imposybilistycznej kontroli, by nas ochronić przed terrorystami i oszustami; nowa izba odwoławcza uchyli każdy napiętnowany przez władze wyrok itd. Partia, poprzez swoich ludzi (byle mieć do nich dojście), zaprowadzi wszędzie prawo i sprawiedliwość.

Zgoda, cały ten trójpodział władzy, konstytucja, przetargi, kontrola publiczna, niezależne media, kadrowe konkursy, niekontrolowane samorządy, sądy, konsultacje, opinie – to wszystko strasznie utrudnia rządzenie. Zmusza, żeby, zmieniając rzeczywistość, jednak trzymać się procedur i przepisów prawa. Jakby cała demokracja została pomyślana po to, by ograniczać, opóźniać władzę. Jakby podejrzliwie zakładano, że rządzący mogą się pomylić albo dbać głównie o siebie i swoich ludzi, albo chcieć zdławić opozycję i krytyków. Tak, radość z obalanego imposybilizmu może być naprawdę szczerą. I zabójczą.

Jan Koza



© JAN KOZA

KOMENTARZ

Solidarność – z Bogiem czy z ludźmi?



Joanna Solska

Solidarność dogadała się z rządem w sprawie zakazu handlu w niedzielę. Na początek zakaz wprowadzony zostanie w każdą drugą i czwartą niedzielę miesiąca i obowiązywać będzie od 2018 r. Po roku od złożenia przez związkowców projektu obywatelskiego uchwalenie stosownej ustawy nabiera tempa. Przez ten rok zapał rządu do zamykania sklepów nieco osłabł. Być może pod wpływem sondaży, z których wynika, że ponad połowa społeczeństwa jest zakazowi przeciwna. Podobnie jak na Węgrzech, które się teraz z zakazu wycofują.

Nie popiera go już także Polska Izba Handlu, którą zbulwersował zapis w projekcie nakazujący karać więzieniem przedsiębiorców, którzy zakaz złamią.

Właściciele sklepów boją się też, że na poważnego konkurenta mogą im teraz wyrosnąć uprzywilejowane w ustawie stacje benzynowe. Nie chcą go firmy transportowe, bojąc się, że zdeorganizuje im pracę, zakazując dostaw w czasie, gdy zamknięte będą sklepy, czyli aż do godziny 6 rano w poniedziałek. Okazałoby się, że chrupiące bułeczki w poniedziałkowe poranki mogłyby być już nie do zdobycia, jak w PRL. Zakazu nie popierają też konkurencyjne związki zawodowe, czyli OPZZ.

Solidarność jednak trwa przy swoim i, godząc się chwilowo na kompromis, z całkowitego zakazu rezygnować nie zamierza. Bo „niedziela jest dla Boga i rodziny” – grzmiał Piotr Duda na Jasnej Górze podczas pielgrzymki ludzi pracy. Tym samym wpisał się w głosy hierarchów kościelnych nakazujących dzień święty święcić. Abp Wiktor Skworec liczy nawet, że „Parlament Rzeczypospolitej Polskiej przywróci narodowi niedziele jako wartość religijną, kulturową i społeczną”. Zaś toruński redemptorysta mówi wprost: „Kup sobie chleb w sobotę, i co potrzebujesz, albo w piątek. Do Kościoła!”. Gdyby Solidarności

chodziło o poprawę sytuacji pracowników handlu sieciowego (około 400 tys. osób), to obecnie jest na to dobry czas. Handlowi brakuje ludzi do pracy, niech tym, którzy chcą pracować w niedzielę, płaci więcej, nawet dwukrotnie. Można też wprowadzić zasadę, że nikogo do pracy w niedzielę zmuszać nie wolno. Niech pracownik sam zdecyduje, czy za jeden dzień pracy w niedzielę, opłacany jak dwa zwykłe, nie lepiej mu odebrać dwóch innych dni wolnych. I też poświęcić sprawom rodziny.

Chyba jednak Solidarności nie o pracowników handlu chodzi, ale o klientów wielkich sieci i galerii handlowych. Nie o 400 tys. ludzi, ale o miliony, z których wielka część wolne dni spędza z rodziną w centrach handlowych. Nie tylko w sklepach, ale także w kinach, kawiarniach czy restauracjach, które teraz w dni zakazane zostaną zamknięte. Zgoda, że można by lepiej. Zgoda, że warto ludzi przekonywać do mądrzejszych form wypoczynku. W tym jednak przypadku nie chodzi o przekonanie, ale o zakaz. Pozbawienie alternatywy, a więc wyboru. A nadzieja, że jak opustoszeją galerie, to znów zapełnią się kościoły, może być płonna.

KOMENTARZ

Na linii strzału



Martyna Bunda

Budowanego przez lata systemu wyciągania kobiet z przemocowych domów już nie ma. Wystarczyły dwa lata. Pomoc praktycznie zniknęła. Państwo wycofało wsparcie finansowe, a największe firmy, które kiedyś finansowały ową pomoc, chcą podobać się rządowi. Organizacje zajmujące się pracą u podstaw z całej Polski ledwo przędą. Były mieszkania czasowe, gdzie mogły się schronić kobiety uciekające z domów, zwykle z dziećmi? Była pomoc psychologiczna i lekarska? No to nie ma. Dziś kobieta, chcąc uciec od przemocy, powiadomiwszy policję, może założyć

Wystarczyły dwa lata, aby zniszczyć bardzo długo budowaną sieć wsparcia dla ofiar przemocy. Państwo ograniczyło finansowanie organizacji zajmujących się ratowaniem kobiet.

Niebieską Kartę i udać się do noclegowni w najbliższym mieście wojewódzkim. O ile akurat nie ma dużego mrozu, bo wtedy brakuje miejsc.

Choć na różnych etapach życia ofiarami ciągłej bądź incydentalnej przemocy domowej było około 13 mln Polaków, państwo polskie długo odmawiało nawet ratyfikowania konwencji o przeciwdziałaniu przemocy, bo Kościół powiedział, że to „goździ w tradycynie pojmowaną rodzinę”. W ostatnich latach ogólna liczba ofiar przemocy domowej lekko spadała, za to wzrosła liczba maltretowanych kobiet. Panowie domu są nieco mniej skłonni niż przed laty maltretować dzieci – częściej odbijają sobie na żonach.

No to teraz będą mieli pistolety. Posłowie Kukiz'15, poparci przez posłów PiS, skierowali do drugiego czytania ustawę, wedle której policja już nie będzie wydawała pozwoleń na broń. O ile chętny spełni

zapisane w ustawie kryteria, dostanie ją. Posłowie Kukiz'15 szacują, że po wejściu w życie ustawy liczba posiadaczy broni wzrośnie o co najmniej 100 tys. w pierwszym roku. Skierowanie ustawy do dalszych prac poparło prawie dwie trzecie posłów, przed nami ostateczne głosowanie. „Zawsze gdy w Polsce odradzał się patriotyzm, powodowało to wzrost zainteresowania bronią” – piszą w uzasadnieniu posłowie Kukiza, a wtóruje im Stanisław Pięta z PiS: „Polacy chcą broni w domu i będą ją mieć. Przed nami nadal dużo pracy, ale zmiana jest w 100 procentach pewna”.

Można się łąsić do swoich wyborców, utwierdzać ich w przekonaniu, że tacy są „maczo-kowboje”, jednak obowiązkiem państwa jest brać odpowiedzialność za wszystkich obywateli. Czy to znaczy, że zamierza ono przeprosić za zaniechania i wreszcie przypominie sobie o przemocy w rodzinie? Czy też poczekamy na pierwsze odstrzelone?



Kto buduje, kto niszczy

Jakże często, zwłaszcza teraz za władzy PiS, słyszymy: „Co ta Bruksela znowu wymyśliła” albo „Unia nam narzuca”. Ale polski rząd i europosłowie też biorą udział w pracach, negocjacjach i decyzjach Unii. Czy robią to dobrze?

Głosny od jakiegoś czasu jest temat różnej jakości produktów. To znaczy, nareszcie udaje nam się przebić z żądaniem doprowadzenia w Unii Europejskiej do sytuacji, w której ta sama marka w tym samym opakowaniu będzie sprzedawała wszędzie to samo. Każdy zna sławetną „chemię z Niemiec”, czyli np. proszki do prania niby te same, a jednak inne, bo przywiezione prosto z Niemiec, nie kupowane w Polskich sieciówkach i wg oceny użytkowników – lepsze. Innym znanym przykładem jest krem czekoladowy, który w krajach zachodnich jest bardziej kremowy niż w naszej części Europy, ciasteczka, które tam zawierają masło, a na nasz rynek olej palmowy itp. Aby prawo europejskie zmienić, poprawić, ujednolicić, Komisja Europejska musi przygotować propozycję, która jest przekazywana do Rady, gdzie spotykają się ministrowie odpowiedniego resortu z 28 krajów albo osoby z nimi współpracujące, oraz do Parlamentu Europejskiego, gdzie trafia do odpowiedniej komisji i tam pracują nad nią europosłowie.

Negocjacje między tymi instytucjami często są bardzo trudne i żmudne. Szkopuł polega na tym, że ci, których dane prawo w życiu codziennym będzie dotyczyło, mogą dokładnie sprawdzić, jakie poprawki nanosił który europoseł i jak głosowała europosłanka, ale normalny śmiertelnik nie ma informacji o tym, co robią ich przedstawiciele w Radzie. Poza doniesieniami medialnymi, a te są albo udzielane na konferencjach prasowych przez ministrów, albo wyrwane „po znajomości” od uczestników obrad i przekazywane dalej, bardzo trudno dowiedzieć się, czy rząd rzeczywiście jest aktywny, skuteczny i czy reprezentuje oczekiwania swoich obywateli. Często nie wiemy, jak argumentują i jak głosują nad zaproponowanymi rozwiązaniami nasi wysłannicy z Polski, jakiego szczebla są to wysłannicy, czy minister uczestniczy osobiście czy tylko jako zastępca?

Wróćmy do produktów różnej jakości. Minister Krzysztof Jurgiel, którego nie udało się ostatnio opozycji odwołać z fatalnie pełnionej funkcji, bo większość posłów PiS uznała jego wybitność, nie widzi problemu w tym, że produkty trafiające na nasz rynek są często gorszej jakości, i nie walczy w Radzie z tą praktyką. Ostatecznie zgodził się przyłączyć do wniosku, aby Komisja Europejska zajęła się tą sprawą. Wątpię, żeby konsumenci zgadzali się z tak bierną pozycją swojego ministra.

Ale nie dość, że rząd nie walczy o te same standardy produktów dla swoich obywateli, to nie jest aktywny w zabieganiu o znoszenie barier, które uniemożliwiają, także mieszkańcom Polski, zakupienie w sieci wielu towarów z zagranicy, na które mieliby ochotę. Ten proceder nazywa się: geoblokowanie. Kto z nas nigdy nie otrzymał komunikatu: niedostępne w twoim kraju,

albo: do twojego kraju nie dostarczamy, albo nie odrzucono mu płatności, bo karta nie jest z kraju akceptowanego przez sprzedawcę?

Powoli wszyscy godzą się z tym, że mamy ograniczenia terytorialne dotyczące materiałów audiowizualnych, bo prawa autorskie, bo licencje wykupione są tylko na niektóre kraje. Czyli trzeba wykonać tysiąc sztuczek (po części nielegalnych), żeby zobaczyć film, mecz i koncert, na którym nam zależy, a który akurat w Polsce nie jest dostępny. Często cytowane zdanie Bronisława Geremki, podkreślające potrzebę wzmocnienia tożsamości europejskiej i świadomości obywateli o korzyściach wypływających ze zjednoczenia: „Stworzyliśmy Europę, teraz jeszcze trzeba stworzyć Europejczyków” – staje się abstrakcyjne. Zwłaszcza jeśli będziemy się zgadzać na dyskryminowanie obywateli, odmawianie im dostępu do wiadomości z różnych części ich kontynentu, do dóbr kultury, rozrywki, jak i produktów, które chcą zakupić.

Wiele pracy będzie wymagać opracowanie nowego modelu biznesowego umożliwiającego oglądanie programów telewizyjnych i filmów (odpłatnie!) z krajów własnego wyboru, więc zdecydowaliśmy się w Parlamencie Europejskim na małe kroki: najpierw proponujemy potencjalnym nabywcom na wspólnym europejskim rynku nieograniczony dostęp do zakupu produktów fizycznych oraz gier komputerowych, muzyki, oprogramowania i e-booków. I już tu trafiamy na mur, bo przedstawiciele wielu krajów w Radzie stoją po stronie przedsiębiorców czerpiących zyski z Europy podzielonej, z Europy, gdzie wysyła się różne produkty na różne rynki, nadaje się im różną cenę, a obywatelom odmawia się wyboru. Dziwi, że i polski rząd – tą sprawą zajmuje się resort ministra Morawieckiego – nie zabiega o to, aby Polacy nie byli dyskryminowani w sieci, i jest w grupie blokującej znoszenie barier. Tak jak dziwiła negatywna reakcja minister Streżyńskiej na zniesienie dodatkowych opłat za roaming. Teraz pracujemy nad zmniejszeniem cen za rozmowy zagraniczne, czy ktokolwiek wie, jak pani minister walczy o swoich obywateli w Radzie?

Bardzo nam brakuje europejskiej przestrzeni publicznej, pisma, telewizji, w której moglibyśmy wspólnie omawiać podejmowane decyzje i żądać wiedzy na temat zachowania i skuteczności naszych reprezentantów, kiedy działają na wspólnej unijnej niwie. Tego się jeszcze długo nie doczekamy, ale powinniśmy w Polsce żądać informacji i debaty o tym, z jakim stanowiskiem (i czy w ogóle) ministrowie jadą na Radę i co osiągnęli, jakie zbudowali koalicje i większości, z kim się spotykali, a z kim nie chcieli. Czy byli skuteczni, nie nieudolni. Ważne, żeby obywatele wiedzieli, kto w ich imieniu buduje, a kto niszczy.

Urlopowe ekwiwalenty dla uprzywilejowanych

Niektórzy samorządowcy odbierają kilkudziesięciotysięczne zwroty za niewykorzystane urlopy. Nie ma jasności, czy jest to zgodne z prawem.

Wzrzesień minął i o wakacyjnych urlopach mało kto już pamięta. Według obowiązującego prawa pracy dla pracowników zatrudnionych na etatach urlop jest przywilejem, którego nie można się zrzec. Co więcej, nie można go też nadmiernie gromadzić. Pracodawca ma bowiem obowiązek udzielenia pracownikowi urlopu najpóźniej do 30 września kolejnego roku kalendarzowego. Za niedostosowanie się do tego przepisu grożą kary. Tylko w ubiegłym roku w czasie rutynowych kontroli Państwowa Inspekcja Pracy stwierdziła naruszenie tego przepisu prawie 1500 razy. Dzięki zastosowanym przez inspektorów środkom prawnym urlop mogło wykorzystać ponad 25 tys. pracowników. Pokusę skłaniającą do niewykorzystywania przysługujących nam dni wolnych mogłaby stanowić perspektywa uzyskania pieniężnego ekwiwalentu. Ten jest gwarantowany tylko w przypadku, gdy urlop nie został wykorzystany z powodu rozwiązania lub wygaśnięcia stosunku pracy, co w praktyce zdarza się niezwykle rzadko (pracodawcy wolą wymóc na pracowniku wybranie urlopu, niż zapłacić mu należny ekwiwalent).

Okazuje się jednak, że przepisy te nie obowiązują wysokich rangą samorządowców. Wielu z nich ekwiwalenty za niewykorzystane urlopy traktuje jako nieformalny dodatek do pensji. Jak to możliwe? Kwestie związane z zatrudnianiem pracowników samorządowych reguluje ustawa o pracownikach samorządowych (z listopada 2008 r.) oraz Kodeks pracy. W tej pierwszej nie znajdziemy jednak przepisów dotyczących nabywania i udzielania urlopów, w związku z tym stosuje się wobec nich paragrafy zawarte w Kodeksie pracy. Tu jednak pojawia się pewien problem. Najważniejsi samorządowcy (m.in. wójtowie gmin, burmistrzowie czy prezydenci miast) są pracownikami samorządowymi zatrudnionymi na podstawie wyboru. Nie mają oni bezpośredniego przełożonego, a osobą formalnie odpowiedzialną za udzielanie im urlopu jest ich niższy rangą podwładny, którego zazwyczaj sami wyznaczali na to stanowisko. Niewykorzystane w trakcie ich kadencji urlopy przekształcają się w prawo do ekwiwalentu po rozwiązaniu stosunku pracy, co następuje z chwilą wygaśnięcia ich mandatu. Czy to oznacza jednak, że szefowie urzędów w ogóle nie korzystają z urlopów, ciężko pracując na rzecz lokalnej społeczności? Nieupełnie. – Samorządowcy uciekają

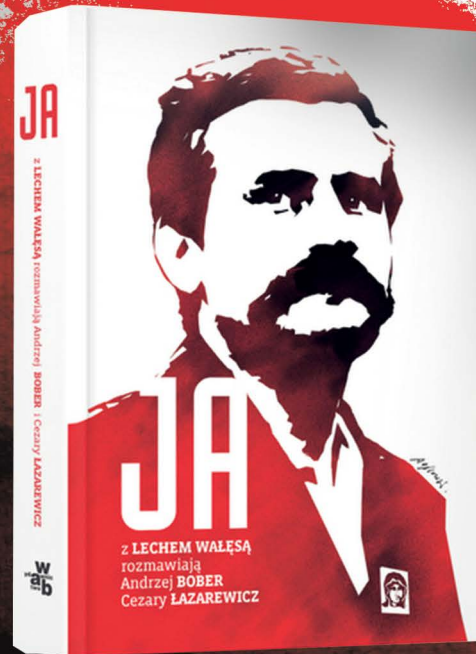
się do dwóch sposobów. Albo „ubierają” wszelkie letnie czy zimowe wyjazdy w formę inną niż urlopy (np. traktując je jako wyjazdy służbowe), albo, korzystając z art. 42. ustawy o pracownikach samorządowych, wybierają tzw. nadgodziny za pracę w ponadwymiarowym przedziale godzinowym – tłumaczy dr Stefan Płazek z Katedry Prawa Samorządu Terytorialnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, który od kilku lat przygląda się tym praktykom. Ekwiwalent za niewykorzystany urlop na koniec kadencji należy się niezależnie od tego, czy dana osoba zostanie ponownie wybrana czy też nie. Co prawda część samorządowców wybranych na kolejną kadencję przenosi na nią swój niewykorzystany urlop, jednak wśród prawników nie ma jasności, czy takie rozwiązanie jest zgodne z obowiązującym prawem.

Media zaś prześcigają się we wskazywaniu kolejnych rekordzistów, których ekwiwalenty nierzadko wynoszą po kilkudziesiąt tysięcy. Prezydent Suwałk Czesław Renkiewicz na koniec poprzedniej kadencji przyjął za niewykorzystane 61 dni urlopu ponad 28 600 zł, podobną kwotę otrzymał też burmistrz Suchej Beskidzkiej Stanisław Lichosy, a Edmund Ligman, wójt gminy Rybno, na koniec kadencji dostał ponad 40 tys. zł. Jeśli podobne kwoty pomnożymy przez liczbę wójtów, prezydentów miast, burmistrzów, a także członków zarządów powiatów i województw oraz związków komunalnych (nawet przy założeniu, że część z nich uczciwie wykorzystuje przysługujący im urlop), to kwota, która idzie na te ekwiwalenty z publicznych pieniędzy będzie naprawdę ogromna. Część wysokich rangą samorządowców tłumaczy się, że przepisy nie dają im możliwości zrzeczenia się tych pieniędzy, inni uznają, że nadmiar służbowych obowiązków uniemożliwia wzięcie wolnego. Nie zmienia to jednak faktu, że pobierane kwoty są pewną formą premii.

Mimo że kolejne ekipy zapowiadały zmianę tych przepisów, formalnie nie została ona nigdy uchwalona. Tym razem z podobnym postulatem wyszedł PiS, który ustawę o samorządzie gminnym zamierza wprowadzić przy okazji nowelizacji Kodeksu wyborczego. Na razie jednak nie zostały ujawnione żadne szczegóły, więc może się okazać, że znów skończy się tylko na deklaracjach.

(A. DOB.)

Czego nie wiecie o Lechu Wałęsie?



Już w księgarniach

**z LECHEM WAŁĘSĄ
rozmawiają
Andrzej BOBER
Cezary ŁAZAREWICZ**

**Spotkanie z okazji
premii książki**

**12 października (czwartek),
godz. 18.00**

**WARSZAWA, salon empik Junior
ul. Marszałkowska 116/122**

ZAPRASZAMY



© REUTERS/FORUM

Referendum to nie zbrodnia

Madryt, sięgając po przymus i przemoc, wybrał opcję eskalacji.

Narody, jak ludzi, można zmusić do koegzystencji w jednym państwie, lecz nie do wzajemnej miłości. Separatyzm kataloński ma twarz obywateli, a nie fanatyków. To prawicowy mniejszościowy rząd w Madrycie użył siły policyjnej, by zablokować katalońskie głosowanie nad niepodległością, gdyż uznał je za sprzeczne z prawem i konstytucją. Na tej podstawie sięgnął po środki nieproporcjonalne przeciwko obywatelskiemu nieposłuszeństwu Katalończyków. Ich postawa jest zgodna z zasadą samostanowienia narodów i z demokratyczną ideologią praw człowieka. Wynika z tego, jak widzą sytuację swego kraju. Od lat protestowali przeciwko pełzającemu ograniczaniu demokratycznej autonomii pod pretekstem umacniania władzy centralnej. Miliony przychodziły na manifestacje na rzecz referendum niepodległościowego. Zwyczajni obywatele, działacze lewicy i centrum. Dzień prawdy przyszedł 1 października. Kilka tysięcy lokali referendalnych otwarło podwoje.

Chętnych do głosowania nie brakowało. Niektórzy przyszli pod lokal już w nocy. Rozumieli, że im wyższa frekwencja, tym mocniejsza podstawa do dalszych działań władz autonomicznych, włącznie z deklaracją niepodległości. Według wstępnych wyników podanych przez władze katalońskie frekwencja sięgnęła prawie połowy uprawnionych, za rozwojem było 90 proc. Jest sukces, ale mandat dyskusyjny. Gdyby nie upór Madrytu, sprawa niepodległości mogłaby zostać oddana przez samych głosujących. A tak media światowe obiegły sceny przemocy policyjnej. Rannych zostało ponad 800 osób. Gdy w ruch idą pałki i kule gumowe przeciwko ludziom, którzy chcą głosować, każda demokracja ma kłopot. Teraz kłopot ma demokracja

hiszpańska. Wydarzenia w Katalonii to nie było jej święto, tylko jej porażka. Okazało się, że nie ma jednej Hiszpanii, jest głęboki, coraz trudniejszy do usunięcia podział w społeczeństwie. A władza centralna okazuje butę i pogardę kilku milionom obywateli. To nie jest rozwiązanie problemu.

Madryt zarzuca autonomicznym władzom katalońskim działania irracjonalne i nieodpowiedzialne. Manipulowanie emocjami zbiorowymi dla własnych korzyści. Ale to madrycka polityka siły zradycyzowała Katalończyków. Wiele z nich wahało się wcześniej, czy pójść zagłosować, wielu zagłosowałoby przeciw. Tymczasem widok hiszpańskiej policji państwowej na ulicach Barcelony i innych miast Katalonii wywołał u wielu skojarzenia z epoką Franco. Tożsamość i godność Katalończyków były wtedy spychane na margines. A przecież Katalonia nie czuła się i nie czuje marginesem. Przeciwnie, ma poczucie, że jest motorem gospodarki hiszpańskiej, zagłębiem innowacyjności, proeuropejskim bastionem. Tu idea niepodległości nie jest jakąś mrzonką radykałów czy fanaberią elit. Jest wizją przyszłości mającą duże poparcie społeczne. Gdzie jak gdzie, ale w Polsce nie powinno to być trudne do zrozumienia. Przecież hymnem pokolenia Solidarności były „Mury” Jacka Kaczmarskiego, oparte na pieśni katalońskiego muzyka Lluisa Llach, przeciwnika rządów frankistowskich. Hiszpanie przezywają zaś Katalończyków los Polaków. Polakami. Znany kataloński pisarz Jaume Cabré skomentował reakcje ludzi na blokiowanie głosowania: „to wielki gest godności stanąć w obronie swego zdania naprzeciw oddziałów policji. Ludzie bronili wolności”.

Katalońskie dążenie do niepodległości nie jest też trudne do zrozumienia w Europie. Owszem, może budzić wątpliwości, a nawet niepokój. Rządzący, nawet w demokracjach,

zwykle nie lubią separatystów. Dziś mogą się obawiać, że Katalonia dołączy do długiej listy kłopotów, jakie mają z ruchami nacjonalistycznymi, populistycznymi, skrajną prawicą. Słowem, że separatyzm kataloński niepotrzebnie wciąga Europę w wewnętrzny konflikt w Hiszpanii. Na domiar złego, sprawie referendum sprzyjały media rosyjskie. To byłby dzwonek alarmowy: wspierają, bo Kreml ma interes w destabilizacji UE. Ale przypadek Katalonii nie wydaje się separatyzmem destrukcyjnym. To nie jest nacjonalizm agresywny, konfrontacyjny. Można było się z nim dogadać bez eskalacji konfliktu. W końcu demokracje brytyjska i kanadyjska odważyły się zgodzić na referenda niepodległościowe, odpowiednio w Szkocji i Quebecu. I nic się nie stało: większość głosujących była za status quo. Lecz Madryt, sięgając po przymus i przemoc, wybrał opcję eskalacji.

Rozwody między narodami w tym samym państwie się zdarzają. Norwegia oddzieliła się od Szwecji, republiki nadbałtyckie od ZSRR, Czesi rozstali się pokojowo ze Słowakami, narody tworzące Jugosławię rozeszły się – niestety drogą wojny domowej – ale część z nich spotkała się po latach w Unii Europejskiej. Są też przykłady negatywne, jak choćby podsycany przez Moskwę separatyzm we wschodniej Ukrainie. Nacjonalizm kataloński to zupełnie inne stworzenie. Brytyjski dziennikarz Neal Ascherson (Szkot) przypomniał niedawno w „Guardianie”, że to nacjonalizmy rodzą narody, a nie na odwrót. Tak też było w przypadku Hiszpanii, gdzie nowoczesny nacjonalizm przyczynił się w XIX i XX w. do powstania nacjonalizmu katalońskiego. Jest – tak jak szkocki – obywatelski, niechętny przemocy, spragniony nowego globalnego świata, a zarazem etniczny, w sensie namiętności do języka, historii i kultury Katalonii. Nie trzeba się go bać.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Codzienna porcja ciekawych informacji ze świata w aplikacji **Fiszki Polityki**.



Macron się rozmienia



Łukasz Wójcik

Prezydent Francji zaprezentował najdalej idący program reform Unii Europejskiej od czasów odrzuconego projektu europejskiej konstytucji. Emmanuel Macron zaproponował członkom Unii tyle zmian, że komentujący na żywo francuscy dziennikarze nie nadążali z ich notowaniem. Zapewne podobnie jak inni europejscy liderzy. Nieprzypadkowo wykład na Sorbonie odbył się zaledwie dwa dni po niemieckich wyborach. Macron próbuje w ten sposób przejąć od Angeli Merkel inicjatywę w Brukseli. Niemiecka kanclerz już podczas kampanii do Bundestagu unikała tego tematu, aby nie drażnić wyborców, którym reformy Unii kojarzą się z większymi wydatkami. Teraz czeka ją co najmniej kilka tygodni negocjacji koalicyjnych, w których polityka europejska będzie odgrywać ważną rolę, więc trudno oczekiwać od Niemców przełomowych deklaracji.

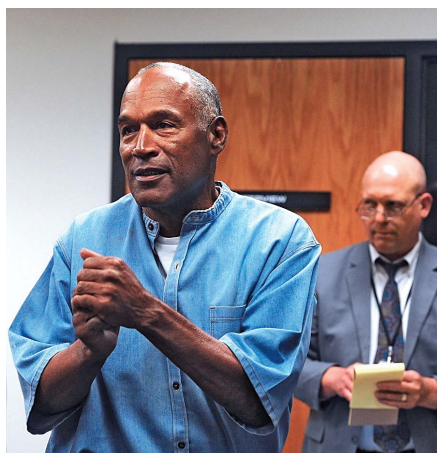
I tu wchodzi ja – mówi Emmanuel Macron. Francuz chce m.in. ujednolicienia podatku od przedsiębiorstw i wyrównania wydatków na cele socjalne we wszystkich krajach UE, budowy

europejskiej armii, harmonizacji polityki azylowej i unijnej kontroli granic zewnętrznych, reformy polityki rolnej. Jednym występm Francuz zaniepokoił więc niemal wszystkich: nowe kraje Unii z Europy Wschodniej, płatników netto, a nawet służbowo zawsze optymistyczną Komisję Europejską – jedna z propozycji Macrona dotyczy zmniejszenia liczby komisarzy z obecnych 28 do 15.

Szczególny problem prezydent Francji będzie miał z Niemcami. Gdyby w Berlinie utrzymała się stara, wielka koalicja CDU-SPD, jego ambitne propozycje miałyby większe szanse. Ale w Bundestagu powstanie zapewne jamajski sojusz CDU, Zielonych i liberałów z FDP. Z Zielonymi Macron nie będzie miał problemów – ich lider Cem Özdemir był zachwycony sorbońskim wykładem. Ale liberałowie nie pozostawili złudzeń: „nie” dla zaproponowanego przez Macrona odrębnego budżetu strefy euro, generalnie „nie” dla koordynacji polityk gospodarczych. Lider FDP Christian Lindner zapowiedział, że w negocjacjach koalicyjnych to będzie „czerwona linia” dla liberałów.

Macron chce działać w Europie zupełnie odwrotnie niż we własnym kraju. Reforma francuskiego rynku pracy była wcześniej solidnie przedyskutowana. Część ekspertów uznała więc propozycję sorbońską za przejaw bezsilności – prezydent już wie, że są one nie do zrealizowania, więc przynajmniej pokazuje, gdzie sam stoi.

Zastanawia jednak, dlaczego Macron zmienił strategię. Wcześniej skupiał się niemal wyłącznie na reformie strefy euro – rzeczywiście niezbędnej. Rozproszenie uwagi na tak wiele frontów może skutkować porażką na całej linii.



© SPLASH NEWS

O.J. Simpson, prekursor Trumpa

Aresztowanie **O.J. Simpsona** po samochodowym pościgu i jego transmitowany przez CNN proces przeszły do legendy amerykańskiej popkultury. Po raz pierwszy kamery TV śledziły od początku do końca dramat, którego antybohaterem był celebryta. Teraz, po 9 latach, wyszedł z więzienia, ułaskawiony po niespełna jednej trzeciej wyroku, O.J., słynny amerykański futbolista, oskarżony o morderstwo żony i jej przyjaciela, odbywał karę nie za te zabójstwa, tylko późniejszy rabunek

z bronią w ręku. Mimo przytłaczających dowodów winy został uniewinniony przez złożony w zdecydowanej większości z Afroamerykanów sąd przysięgłych. Ławnicy nie ukrywali, że kierowali się nie analizą argumentów stron, lecz pragnieniem rasowego odwetu. Uniewinnienie czarnego idola, zresztą bożyszczą całej Ameryki, było rewanżem za taki sam werdykt wydany wobec białych policjantów w Los Angeles, którzy parę lat wcześniej brutalnie pobili czarnego kierowcę. A może i za dawniejsze procesy – białych rasistów na południu, których wypuszczano na wolność mimo niepodważalnych dowodów. Czarna Ameryka wiwatowała po werdykcie w LA.

Tamten medialny cyrk dał impuls do rozmnożenia się telewizyjnych reality show z udziałem znanych z tego, że są znani, jak Kim Kardashian, której ojciec, przyjaciel Simpsona, należał do czołówki postaci pamiętnego widowiska. W tym sensie – jak uważają niektórzy – O.J. uTOROWAŁ drogę do polityki Donaldowi Trumpowi, który też zadowolił się w świadomości Amerykanów dzięki swemu reality show „The Apprentice”. A groteskowy proces słynnego futbolisty, gdzie sąd był narzędziem historycznych porachunków, stał się także zapowiedzią przyszłych zwycięstw postprawdy, dziś triumfującej w Białym Domu.

Prezydent dał wolne

Południowi Koreańczycy rozpoczęli w ten poniedziałek 10-dniowe świętowanie, to najdłuższy taki zbiorowy okres wolnego w ich współczesnej historii. Chuseok, coroczne jesiennie Święto Plonów, trwa trzy dni, jest tradycyjną okazją do domowych rodzinnych spotkań, a wcześniej – do zbiorowego exodusu, kiedy krajowy transport pęka w szwach. W tym roku wraz z dniem niepodległości i dniem języka pisanego można było utworzyć 10-dniowy świąteczny most i z tej okazji skwapliwie skorzystał nowy prezydent Moon Jae-in, który dał narodowi tak długie wolne, bo „Koreańczycy potrzebują odpoczynku”. To jedno z jego haseł wyborczych; ponad 20 proc. rodaków pracuje 60 godzin tygodniowo i więcej (dotyczy to tylko 9 proc. uchodzących za pracoholików sąsiednich Japończyków), a z przysługujących 15 dni urlopu pracownik wykorzystuje średnio 8, aby nie sprawiać wrażenia, że można się bez niego obejść. Prezydent, który zaraz po zaprzysiężeniu wziął sobie wolny poniedziałek, chce wprowadzić przymus urlopowy i wydłużyć go do 20 dni. Ale najpierw trzeba będzie jakoś, bez pracy, przeżyć te obecne dni. Ciekawe, jakie ten eksperyment przyniesie doświadczenia.

Duda wrócił!

RAFAŁ KALUKIN

Prezydent **Andrzej Duda** nie zdołał stanąć ponad polskimi podziałami. PiS zrobi teraz wszystko, aby z powrotem wtłoczyć go w pakiet „dobrej zmiany”.

Te ustawy muszą zostać naprawione tak, aby były do przyjęcia dla wszystkich – również dla tych, którzy nie będą nimi zachwyceni” – mówił w lipcu Andrzej Duda, zapowiadając własne projekty reformy sądownictwa w miejsce zawetowanych. Obietnicy nie spełnił.

I nie mogło być inaczej. Koncepcja prezydenta ogranicza się do tego, aby skuć sędziów aksamitnymi kajdankami i bez przesadnego upokarzania doprowadzić ich przed oblicze Jarosława Kaczyńskiego. Lecz dla prezesa, który bez upokorzenia wroga najwyraźniej nie potrafi zaznać smaku zwycięstwa, to za mało. Z kolei dla opozycji – stanowczo zbyt wiele. Głośna przez chwilę teza Bartłomieja Sienkiewicza „Tylko Duda może uratować demokrację” okazała się zatem fałszywa. Prezydent nie zamierza ratować demokracji. Domagając się skrócenia gwarantowanych konstytucją kadencji członków KRS, nie pierwszy już raz wtrąca za to swoje trzy grosze do jej niszczenia.

Jego projekty to nic więcej jak złożona Kaczyńskiemu oferta powołania oligopolu do kontroli sądownictwa. Obaj mieliby zachowywać samodzielność, choć wspólnota celu tkłaby



między nimi sieć zależności. Jeden musiałby obserwować ruchy drugiego, aby układ zachował sterowność i gwarantował utrzymanie monopolu. Głównym rozgrywającym w KRS byłby Kaczyński, za to Duda zyskałby wpływ na skład Sądu Najwyższego. Aby uwiarygodnić nadszarpnięte wetami więzy lojalnościowe z obozem „dobrej zmiany”, prezydent dorzucił zarzucony przez PiS pomysł ludowej rewizji wyroków. Uzależniając jej bieg, a także, od czynników politycznych.

Wygląda jednak na to, że Kaczyńskiego nie interesują oligopole. Ani żadne inne formy spółek, nawet jeśli to on dysponowałby złotą akcją. Prezesa urządza wyłącznie pełen pakiet. Choć niewykluczone, że racjonalna kalkulacja polityczna jeszcze zmodyfikuje jego stanowisko.

Wszystko będzie zależało od tego, o co w istocie w tym konflikcie chodzi. Jeśli o sądy, to PiS może jeszcze ustąpić. Rozwiązania leżące dziś na stole dają partii rządzącej minimum 13 miejsc w 25-osobowej KRS (w puli sejmowej: 8 na 15). Zakładając, że uda się wyłuskać z korporacji sędziowskiej posłusznych funkcjonariuszy (co nie jest wcale oczywiste), na razie to wystarczy do nałożenia partyjnej banderoli na mechanizm sterujący napływem nowych sędziów do zawodu. Wystarczy jednak, że choć jeden nominat PiS odwinie się patronom (w Trybunale Konstytucyjnym miał miejsce taki przypadek), a zaczną się problemy. Z drugiej strony, nie ulega przecież wątpliwości, że rozwiązań korzystniejszych dla PiS w tej kadencji już nie należy się spodziewać.

O cóż jednak, jeśli nie o sądy, tu w istocie chodzi? Negocjowanie kompromisu będzie kosztować. Z incydentu stanie się normą. Każdy kolejny piśmowski szturm na instytucje napotka teraz na swej drodze ogarniętego wątpliwościami Dudę. Nie dlatego, że – jak stwierdził w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” – jest politykiem z natury umiarkowanym. Taka będzie logika ich koegzystencji. Skupiony na wyborach parlamentarnych Kaczyński przede wszystkim musi mobilizować twardy elektorat. Zaś Duda – potrzebujący 51 proc. w prezydenckiej elekcji – zmuszony będzie rozważać rewolucję, aby przyciągać mniej przekonanych. Obaj przy tym wiedzą, że nie mogą frontalnie zetrzeć się na ubitej ziemi. Prezydentowi taki układ odpowiada. Ale dla prezesa jest dopustem bożym, z którego będzie chciał się wykłamać.

Cieniem na ich stosunkach kładą się dodatkowo osobiste urazy Kaczyńskiego. Cennego materiału psychologicznego w tej materii dostarczył artykuł Jacka Karnowskiego w „Sieciach Prawdy”, zapowiadający odmowę poparcia PiS dla prezydenckich projektów. Cytując anonimowych polityków z otoczenia prezesa (czy raczej jego samego), autor zrekonstruował proces narastającej podejrzliwości wobec Dudy. Od niewinnych początków, gdy Agata Duda w kampanii prezydenckiej ośmieliła się żartobliwie (wedle interpretacji Kaczyńskiego-Karnowskiego: impertynencko) oświadczyć prezesowi: „Ja się pana nie boję”. Następnie, zanim zaprzysiężony już prezydent powołał na stanowisko prezesa NBP narzuconego mu przez PiS Adama Glapińskiego, na krótką chwilę zdołał zmącić dobrostan Kaczyńskiego niestosowną uwagą: „To ja się nad tym zastanowię”. Kolejne incydenty coraz bardziej zamykały prezesa w pułapce podejrzeń (nie zaszkodzi poprzedzić lekturę artykułu seansem „Wstrętu” Polańskiego), aż doszło do lipcowej kulminacji.

Czemu służył ten artykuł, gatunkowo pokrewny oracji o „mordach zdradzieckich”? Ludwik Dorn uważa, że Kaczyński zrealizował swe psychiczne potrzeby. Wylał z siebie to, co w rozmowie w cztery oczy nie przeszłoby mu przez gardło. Być może więc prezydenckie ustawy zostaną zakopane w parlamencie, a sama „reforma” zarzucona. Byłoby to wstępem

do wielofrontowej operacji osaczania Dudy. Dziś jedynym narzędziem presji ze strony PiS jest groźba odebrania poparcia na drugą kadencję. Jeśli jednak popularny prezydent zdoła stworzyć własne kręgi wsparcia, może dojrzeć do przecięcia pępowiny. W interesie partii rządzącej będzie więc to, aby owe kręgi nie powstały.

Ostatnie zdarzenia układają się w spójną sekwencję. Sojusznik prezydenta Jarosław Gowin nagle dowiaduje się, że jego gotowa już reforma szkolnictwa wyższego nie podoba się PiS. Jeśli projekty zostaną utopione, a wicepremierowi uda się do tego czasu zaleczyć uraz kręgosłupa, powinien zareagować dymisją. Równolegle do klubu PiS weszły posłanki związane niegdyś z Kukizem. Czy to początek tajemnej dyplomacji wokół dalszych transferów? Kukiz wydaje się oczarowany Dudą, zwłaszcza jeśli chodzi o chłodno przyjęty na Nowogrodzkiej pomysł referendum konstytucyjnego. Nie wiadomo, czy ma świadomość, że rozbitcie jego klubu byłoby dla Kaczyńskiego przyjemną rutyną. Dodajmy jeszcze nagle odblokowany projekt ustawy o zakazie handlu niedzielnego. Biskupom oraz Solidarności miał się spodobać. Co prawda związkowcy oburzyli się, że coś za mało tych wolnych niedziel (raptem dwie w miesiącu), ale to przecież dopiero początek negocjacji.

Rzecz nie w tym, aby zrzucić Dudę z piedestału. Trzeba tylko zrzęcznie mu ten piedestał spod nóg wysunąć. Bez mocnych filarów spokojnie, porzuci miraż podmiotowości i niczym Adrian marnotrawny wróci na stałe do poczekalni prezesa.

Platforma już zapowiedziała uliczne protesty w obronie sądów. To jednak reakcja odruchowa, skoro nawet nie wiadomo, czy dojdzie do procedowania projektów. Nie wiadomo zresztą, czy zrzędzony skok na sądy w prezydenckim wydaniu zdoła zmobilizować tłumy. Różnie o tym mówią. W kręgach KOD słychać, że najgłębszy kryzys ruch ma już za sobą i oddolne zaangażowanie wraca. Ale już aktywiści, częściej mający do czynienia z młodym pokoleniem, narzekają, że po letnim wzmożeniu nastroje siadły. I nawet na forach internetowych niewiele się dzieje.

To nie partie mobilizują protesty. Które zresztą nie budują też partiom poparcia. Tym bardziej liderzy powinni unikać działań rutynowych i od nowa przemyśleć strategię. Ciekawych wniosków dostarcza lekcja... Andrzeja Dudy. Jeśli przyjąć wizję polskiej polityki jako totalnego starcia dwóch obozów, lipcowe weta nie miały sensu. Prezydent ryzykowałby przecież utratę poparcia własnego elektoratu, mizerne mając szanse na zdobycie zwolenników po drugiej stronie. Eksplozja popularności Dudy po wetach jednak dowodzi, iż Polska nie jest aż tak głęboko spolaryzowana.

I tak jest od lat. Pojedyncze akty politycznego umiarkowania spotykają się z aplauzem Polaków. Ale już umiarkowane stronnictwa nie mają czego szukać. Dlaczego? Bo partiom wystarczą do życia twarde elektoraty. A głosy wyborców centrum to jedynie sympatyczna nadwyżka. Może nawet dać władzę, lecz nie jest warunkiem *sine qua non* przetrwania. Takim aktem umiarkowania były weta Dudy. W gruncie rzeczy polski prezydent powtórzył słynny manewr Billa Clintona ze zwycięskiej kampanii w 1996 r. Wobec popularności ważnych republikańskich wątków (zwłaszcza wolnorynkowych) Clinton odsunął się od macierzystej Partii Demokratycznej i stanął pomiędzy obiema siłami. Ów zabieg przeszedł do historii marketingu politycznego jako triangulacja. Można go bowiem zilustrować trójkątem równobocznym. Dolne narożniki obsadzili demokraci i republikanie. Górny, ponad nimi, zajął zaś Clinton.

Autora tej koncepcji, wybitnego spin-doktora Dicka Morrisa, zainspirowała dialektyka Hegla. Jeśli teza zderza się ►